BEZPŁATNY DODATEK.

RODZINA

PISMO POŚWIĘCONE WYCHOWANIU I NAUCE DOMOWEJ.

Numer 3. Niedziela, dnia 2-go lutego Rok 1913

Walerya Marrené (Morzkowska).

SMUTNA SWADŹBA.

Nad brzegiem strumienia wznosiła się wieś duża i ludna. Chaty w niej były porządne. Podwórka schludne, obwiedzione ostrokołem, świadczyły, że ludzie, którzy tu mieszkali, dbali o swoje zagrody. Około chat rosły sady, pełne grusz i jabłoni, a ogrody te spuszczały się smugami łąk, aż nad strumień, który po za wsią obracał koła młyńskie. Odzywały się też one nieustannym szumem i klekotem, rozchodzącym się daleko po rosie, niby jakieś ciągłe swarliwe gadanie, unoszące się ponad wioską, nawet w chwili, kiedy była uśpioną.

Z przeciwnej strony, na górze, obrosłej lipami, stał kościołek modrzewiowy, z krzyżykiem błyszczącym. Rano oblewały go różowe promienie świtu, a wieczorem, kiedy wieś już zwolna pogrążała się w cieniu, złocił się on jeszcze w górze, tak, jak ostatnia nadzieja człowieka.

Z wieżyczki kościelnej, odzywał się srebrzysty głos dzwonu i płynął nad wioską w godzinach znoju i spoczynku, panując nad klekotem młyna, i nad wszystkiemi głosami, rozlegającemi się wkoło.

Okolica to była żyzna. Skiby ziemi, odwalone pługiem oraczy, były czarne i tłuste; bujne zboża runiły się na polach. Żyto zakwitało właśnie, a było tak gęste, że wążby się pomiędzy niem nie prześlizgnął; pszenica czarnozielona aż burzyła się na zagonach, a młodsze owsy i jęczmiona, zdawały się je gonić bujnym wzrostem.

Łąki pełne były najprzeróżniejszego kwiecia; góry zaś po za wsią porastały bukowe lasy, tworząc zielone sklepienie, wsparte na kolumnach siwych pni, którego, w południe nawet, promienie słońca przebić nie mogły. Słowem, nie brakło tu niczego: była mąka, łąka, ryby i grzyby. I ludzie też tu gospodarzyli pilnie i zabiegle. Nie byli bez ale, trafiało się tam nieraz różnie między nimi; przecież nic nie słychać tu było o żadnych napaściach, kradzieżach, albo bójkach.

Weselili się wprawdzie na weselach lub chrzcinach, boć kiedy Bóg da radość w domu, trzeba ugościć sąsiadów i podzielić się z nimi czem chata bogata; ale karczma często bywała pusta, a za to w kościółku na nabożeństwie nie brakło nikogo.

Głos dzwonu przypominał im Boga i wzywał do modlitwy, a ksiądz proboszcz, który tu przybył młodym, bardzo dawno temu, i zestarzał się pomiędzy nimi, tłómaczył im zawsze, że najpiękniejszą modlitwą są dobre uczynki, i sam też stwierdzał to przykładem.

Żyli też tu po bożemu i wiodło im się dobrze. Gospodarze mieli dobytek i grosze, zagrodnikom nie brakło chleba. Najbogatszym jednak z całej wsi był Roch Lenart.

Chata jego, o dużych jasnych szybach, odznaczała się pomiędzy innemi. Przed chatą rosły bzy i kaliny, ocieniając okna, a w sadzie roiły się pszczoły, brzęcząc około pasieki, i zbierając z lip przydrożnych biały, wonny miód. Lenart żony nie miał; mieszkał przy nim syn Wicek i synowa, i pomagali mu w gospodarstwie; miał też i córkę, Salkę, siedemnastoletnią, najpiękniejszą dziewkę ze wsi całej i najraźniejszą także.

Była ona wesoła, bo świat uśmiechał się do niej, i ona do niego; radowała się do wszystkiego, co ją otaczało: do czarnej roli, co rodziła takie złote zboża, i do tych wołów, co ją uprawiały, i do tych krów, które z głośnym rykiem wracały wieczorem z lasu, klekocąc kołatkami, zawieszonemi na szyi. Krowy te znały ją tak dobrze, iż, zaledwie weszła pomiędzy nie, schylały się do zapaski, w której im trawę na pokład nosiła.

Radowała się do zieleni łąk, do błękitu nieba i do własnego obrazka, skoro przejrzała się w strumyku, bo miała oczy błękitne jak chaber, a usta różowe jak te maliny, co rosły na polankach wśród lasu. Ale pono radowała się najwięcej do Tomka, hożego parobczaka, który służył w ich chacie. Bo choć Tomek nie miał ani ojców, ani dostatków, przecież nikt, jak on, nie potrafił w tańcu wyskoczyć, albo zaśpiewać; a na wiosnę na wierzbowych ligawkach nikt nie umiał tak pięknie wygrywać przeróżnych, nigdy nie słyszanych, rzeczy.

A przytem robota paliła m usię w ręku; Tomek był pierwszym na zagonie u żniwa, pierwszym w każdej potrzebie. Oprócz tego zaś Salka wiedziała dobrze, iż na jej skinienie gotów był skoczyć w ogień, lub w wodę się rzucić. A kiedy patrzał na nią czarnemi ognistemi oczyma, to tak jej było jakoś dziwno i wesoło i smutno razem, że gotowa była roześmiać się głośno i rozpłakać wśród śmiechu. Na lica występowały jej ognie, i choć chciała patrzeć na Tomka, mimowolnie spuszczała wzrok ku ziemi, bo powieki były jakby z ołowiu.

I chociaż najmilej jej było być razem z Tomkiem, to przecież zawsze uciekała od niego; a choć uciekała, to nie uciekała daleko, tylko kryła się tak, by mogła słyszeć głos jego i widzieć go, chociażby sama nie była widzianą.

Stary Lenart nie domyślał się bynajmniej, co się działo w sercu córki; bo już to zwykle tak bywa, że starzy ludzie, choć mądrzy i doświadczeni, najmniej się tego domyślają. Zresztą w chacie był ład i porządek; każdy miał swoję robotę, to tam nie bardzo uważał na drugich, ani wydziwiał nad nimi; a Tomek i Salka w robocie byli pilni, i każde z nich zawsze spełniło wszystko, co mu było poruczone.

Chłopak też wystrzegał się oka ludzkiego. Wiedział dobrze, że był biednym sierotą, a Salka najbogatszą dziewką we wsi całej; więcby się jego kochanie na nic nie zdało, i nie chciał się z niem wydawać

Salka sama tyle odgadła, co jej jego spojrzenie lub granie powiedziało Zresztą przy Salce kręciło się dużo chłopców, a on ostatnim pomiędzy nimi być nie chciał, ani narażać się na śmiechy.

Nie brakło tam zalotników, to prawda; a już najpierwszym pomiędzy wszystkimi był syn młynarski, Franek Bonek.

Ojciec jego oddawna siedział w młynie, matka była zawołana gospodyni; a młynarzom zawsze dobrze się dzieje, nawet z biedy dla nich rośnie pożytek. Ludzie wiedzieli, że oboje synowi niczego nie poskąpią i mogli kupić mu choćby i trzydzieści morgów roli, i kolonią na niej wystawić, gdyby tylko ożenił się po ich myśli.

To też jak chłopcy do Salki, tak dziewki śmiały się przy każdej sposobności do młynarskiego Franka, i zaczepiały go wszędzie, choć nie był bardzo do podobania.

Ale on na to nie baczył; co mu było w głowie, to trudno było przejrzeć. bo jakiś był nieruchawy i nie raźny, trochę utykał na nogę, — stąd dziewki, wabiąc go jawnie, śmiały się z niego pocichu.

Zresztą chłopak był do niczego, a spokojny, a cichy, że nikomu, jak to mówią, wody nie zamącił. Znać było jednak, że mu Salka wpadła w oko, bo kiedy się z nią spotkał, w dzień powszedni przy jakiej robocie, albo też w święto w kościele, to patrzał się na nią, jak w obrazek cudowny.

Roch Lenart z młynarzem byli sobie kumami, a choć mógł Bonek dla swego jedynaka szukać Bóg wie jakiej żony i byłby dostał, którejby tylko zapragnął; on jednak miał w myśli dla niego Salkę i ponoś już z Lenartem ułożyli pomiędzy sobą tę sprawę. Można więc było każdej niedzieli oczekiwać w chacie Lenartów Bonkowych swatów.

Naturalnie było o tem w chacie gadanie, — bratowa prześladowała Salkę, że się zamyślała.

— Oj! — mówiła, — zgadnę ci ja, co ci po głowie chodzi.

— A to zgadnijcie! — roześmiała się dziewczyna. Śmiech jej jednak nie był bardzo szczery, bo na przyźbie siedział właśnie Tomek i jadł wieczorny posiłek; a ona, patrząc ukradkiem na te czarne kędziory włosów i na twarz ogorzałą, jego tylko miała w myśli.

— Założę się, że chłopak, — ciągnęła dalej Wickowa, której zawsze trzymały się żarty.

Tomek odwrócił się nieznacznie, i co tam miał w myśli, to trudno było wiedzieć, bo głowę pochylił nad misą. Ale Salka zarumieniła się, jak wiśnia, i mruknęła coś, zakrzątnawszy się około komina.

— Albo to nowina, — wtrącił Wicek, — że dziewczęta myślą o chłopcach; powiedz jej lepiej, jak ten chłopiec wygląda, to będziesz mądrzejsza.

— Jużci przecie nie taki czarny, jak nasz Tomek, co to do cygana podobny. Może ten, co siedzi w głowie Salki, nie taki swarny, jak potrzeba, ale za to ojcowisty i ze statkiem, na książce czytać umie, a jak pójdzie za niego, to będzie miała w skrzynce sznury korali i chust co nie miara...

— Albo mi to u tatula czego braknie, — przerwała dziewczyna.

Tomek nie rzekł nic, ale, gdyby kto był patrzał na niego, zobaczyłby jakiś dziwny wyraz na twarzy, a ręka, którą niósł do ust łyżkę, opadła nagle.

Przez chwilę nie słyszał, co wkoło niego mówiono, bo w uszach mu zaszumiało, a potem zerwał się, postawił miskę pełną jadła, tak, że o mało się nie rozbiła i odszedł prędkim krokiem.

Gdzie jednak chciał iść, nie miał o tem pojęcia.

— Co jemu się stało, — spytał Wicek, i pobiegł za nim.

— Cóż to, Tomku? — zawołał.

Tomek już miał czas się uspokoić.

— Ej nic! — odparł spokojnie, chociaż głos mu drżał trochę, — zdało mi się, że się sada krowa odwiązała w oborze.

Poszli obadwaj do obory: sada krowa stała na swojem miejscu i wszystko bydło było spokojne.

— Zdało wam się, Tomku, — rzekł Wicek.

— Zdało mi się, — powtórzył parobczak.

Nie powrócił jednak na wieczerzę, tylko poszedł, gdzie go oczy poniosły.

Salce też do żartów nie było. Zachmurzyła się i nie odpowiadała więcej bratowej, która jednak, zwyczajem kobiecym, nie mogła utrzymać języka, i nieustannie mówiła o młynarskim Franku; aż wreszcie odezwał się stary Lenart.

— Dałabyś pokój, Wickowa! nię trza ryb łowić przed niewodem; jak Bonkowie przyszlą swatów, to będzie o czem gadać, a teraz jeszcze niema co.

Salka miała wielką ochotę rozpłakać się, przypaść ojcu do kolan i prosić go, by jej nie mówiono o młynarskich swatach; ale nie śmiała tego uczynić. Pomyślała więc ona także, iż niema potrzeby ryb łowić przed niewodem.

Ale nazajutrz była niedziela; przyszli swaty naprawdę i nie można już było dalej odpowiedzi odkładać. Przyszli; postawili wódkę na stole; pokłonili się ojcu, bratu, bratowej; przemówili pięknie i prosili Salki, by chociaż kropelkę, na znak dobrej woli, z ich ręki wypiła.

Salka płoniła się i wzdragała, jak zwyczajnie dziewczęta. Zrazu nikt na to nie zważał, bo to już taki obyczaj. Wzdraganiom jednak końca nie było, Przemówili swaty, przemówił i ojciec; a ona rzuciła mu się do nóg i prosiła, by jej nie przyniewalał, z chaty nie wypędzał, obcym nie oddawał. A mówiąc to, płakała tak bardzo, iż myślałby kto, że jej grozi straszne nieszczęście, a nie zaś, że najbogatszy chłopak ze wsi całej chce ją pojąć za żonę.

Po długich daremnych sporach, swatowie odeszli obrażeni. Wicek i Wickowa gadali na siostrę, a stary Lenart siedział markotny na ławie, srodze nierad temu, co się stało.

Salka ocierała oczy fartuchem, ale Bogiem a prawdą oczy te były suche.

O parę kroków za chatą stał Franek, oczekując na to, co się stanie. Nie miał on dotąd żadnej przy-

czyny wątpić o swojem powodzeniu, a przecież serce biło mu niespokojnie. Ojciec i matka jego uważali już w myśli Salkę za synową, i żadnemu z nich na myśl nie przyszło, by Lenartowie odrzucili swaty Bonków. On sam nie pomyślał tego także. Cóż znaczyło więc, że zamiast radości, w piersi jego rośnie niepokój, tem większy, im dłużej czekać musiał.

Kiedy Franek szedł tutaj, spotkał Tomka, który biegł drogą, nie bacząc na nic; potrącił go i nie uważał tego, a potem nikt więcej nie wyszedł już od Lenartów. On czekał jak na mękach, i czas dłużył mu się tak bardzo, iż sądził, że ranek już świtać powinien, a kury jeszcze nie zapiały.

Wreszcie swatowie wyszli z chaty i zbliżyli się do niego, idąc ku młynowi, chociaż nie myśleli, by on był taki niecierpliwy.

Franek wyskoczył ku nim, spojrzał, zbladł, i o nic nie pytał. Nieśli wódkę napowrót, a twarze ich były gniewne.

— Głupia ta Salka, — odezwał się jeden, — cóż to ona myśli, że pan jaki po nią zajedzie, czy co?

— Kiej nie umie szanować szczęścia, tem gorzej dla niej, — przerwał drugi, — wam Franku przez to żony nie zabraknie; znajdziecie dziewek, ile zechcecie.

— Nie macie tam czego żałować; ot poszlibyśmy odrazu do Józefki Baskówny, albo do białej Maryśki, to i tak wam się wesele nie spóźni.

Ale rady te nie trafiały do przekonania Franka, może nawet nie słyszał ich wcale, bo stał w miejscu, ze spuszczoną głową, i tylko, kiedy zaczęli mówić o innych dziewkach, zaprzeczył im takim ruchem, że go zrozumieli.

— Ha! — wyrzekł wówczas jeden, — wola wasza, Franku.

— Co tam próżno gadać, — wtrącił drugi, — kiedy nam się tak źle trafiło, trza się z ojcami naradzić. Toć mówi przysłowie: co nagle, to po dyable.

Szli dalej ku młynowi, tylko Franek nie śpieszył za nimi. Trącili się pomiędzy sobą, naradzali się chwilę i przystanęli.

— Tylko tego nie bierzcie do serca, Franku, — powtórzyli oglądając się za nim,— niema co, doprawdy.

Poszli dalej, bo i cóż mieli z nim robić? Próżne słowa pociechy nie lgnęły mu do serca, a zresztą nie wiedzieli nawet, co on myślał. Jak zawsze był skryty i milczący, tak nim pozostał i teraz. Żeby zaś miał desperować, przez jedną głupią dziewkę, to im nawet nie przyszło do głowy.

On pragnął widocznie sam pozostać, bo stał tam, gdzie go zostawili, nieruchomy, z głową pochyloną, wsparty oburącz na lasce leszczynowej, którą wbijał w ziemię tym sposobem.

Noc była zupełna, blada, przezroczysta noc letnia, bez księżyca, bez gwiazd prawie, bo gwiazdy tonęły w zorzy wieczornej, a zanim ta znikła, zorza ranna rysowała się już na wschodzie.

Swatowie oglądali się za nim czas jakiś, i widzieli go zawsze w tem samem miejscu. Zdawało im się, że musiał czekać na kogoś.

Tej nocy w spokojnej wsi wiele oczu snu nie zaznało: Bonkowie oboje ochłonąć nie mogli z gniewu, że taki wstyd spotkał ich w Lenartowej chacie; Salka czuła na sobie oburzenie rodziny i gadanie ludzkie; stary Roch niepokoił się o córkę i martwił się, że takie szczęście odrzuciła. Tomek, jak zwykle, pasł konie noc całą; nikt się więc o niego nie zatroskał, a jeśli zatroskało się jedno serce, to troskało się pocichu.

(Ciąg dalszy nastąpi).

CIERPLIWOŚĆ.

Przezwyciężenie zmęczenia i senności da nam nieraz sposobność do ćwiczenia w sobie panowania nad potrzebami ciała. Przez zwalczanie w sobie drobnych zachcianek, przez wytrwałość na głód, pragnienie i zmęczenie rozwija się w nas pewna siła potężna — większa od siły pary i elektryczności. Nazywa się ona cierpliwością. Nagłym wysiłkiem woli udaje się nieraz dokonać czegoś ważnego. Ale zdobycze cywilizacyi, dzieła pomnikowe budownictwa, odkrycia naukowe — zawdzięczamy cudom cierpliwości ludzkiej.

Między pojedyńczym wysiłkiem woli, a cierpliwością zachodzi taka różnica, jak między nauczaniem się pośpiesznem przedmiotu na egzamin (kiedy zaraz po zdaniu zapomina się połowy), a pracą systematyczną przez cały rok, bo wtedy umiemy przedmiot na całe życie. Gdyby artysta, budowniczy, uczony, nie miell cierpliwości, to widzielibyśmy wszędzie kościoły, pałace i domy niedokończone, obrazy rozpoczęte, dzieła, którym brakowałoby końca.

Kiedy Kolumb puścił się w drogę, szukając lądu nowego, majtkowie na jego statku zbuntowali się po czterech tygodniach i nie chcieli dalej jechać, domagając się powrotu; ale Kolumb miał dużo cierpliwości i zniósł wytrwale wyrzuty i obelgi, aż pewnego dnia zamajaczyło przed nim błękitniejące we mgle wybrzeże. Ani ciekawość, ani żądza zbogacenia się nie doprowadziłaby do odkrycia Ameryki — dokonała tego cierpliwość.

Wiadomo, że nasz rodak Mikołaj Kopernik dowiódł, iż ziemia obraca się koło słońca, gdy przedtem sądzono, że ma się przeciwnie. Ale nie wiecie pewnie, że nie wpadł na tę myśl odrazu, lecz przez całe życie pracował nad jej rozwiązaniem, wyliczał przez długie lata — i dopiero na łożu śmiertelnem ujrzał dzieło swoje wydrukowane. A wy tracicie cierpliwość po dwu godzinach, kiedy nie udaje się praca.

Cierpliwość jest niby światło gwiazd, nigdy niegasnące, to siła najpotężniejsza; człowiek niespokojny, gdy uzbroi się w nią, może długo i wytrwale czekać na uwieńczenie swych zamiarów wynikiem pomyślnym.

Największemi szkołami cierpliwości są sale szpitalne i pokoje chorych. Niezmordowana czynność i łagodność przy pielęgnowaniu chorych w dzień i w nocy, odwaga, z jaką chorzy sami znoszą dotkliwe i długotrwałe cierpienia — zasługują na podziw i uwagę.

W dzieciństwie można wyrobić w sobie cierpliwość przy najzwyklejszych zajęciach codziennych. Weźmy naprzykład naukę muzyki: spotykamy w niej trudności, które radzibyśmy ominąć; ale powiedzmy sobie: „Nauka cierpliwości ważniejsza jest od muzyki" — i ani się obejrzymy, jak osiągnęliśmy cel podwójny: nauczyliśmy się trudnego kawałka i uczyniliśmy postęp w cierpliwości, która przyda się nam bardzo w życiu.

Ćwiczmy cierpliwość na rzeczach drobnych. Przebieramy się, trzeba się spieszyć, a tu jak na złość zaplątało się sznurowadło u trzewika. Co złości przy tem, co narzekań i krzyków — w końcu bierze się nożyczki i rozcina nowe sznurowadło. Kto tak postępuje w małych rzeczach, to gdy dorośnie, nie potrafi dokończyć dzieła zaczętego, ani też o własnych siłach wydobyć się z przykrego położenia. Spróbuj rozwiązać trzewik, nie tracąc humoru, śpiewaj przytem jaką ulubioną piosenkę, a gdy po kilku minutach rozwiążesz, to można ci szczerze powinszować. Bo to znaczy, że już posia-

nasz początki wielkiej potęgi, która cię uczyni panem swego losu.

Korzystaj z każdej drobnej sposobności dla ćwiczenia w sobie tej siły: kiedy nie możesz zapiąć od razu kołnierzyka, czy to gdy włos osiądzie na stalówce, lub igły nie możesz nawlec odrazu, albo mucha brzęczy ci uparcie koło uszu. Są to wszystkie ćwiczenia w cierpliwości, tak jak są ćwiczenia muzyczne.

Za każde przezwyciężenie siebie czeka nas nagroda. Jaka? Ta, że doświadczenie następne łatwiej nam się uda. Pierwszy raz zawsze najtrudniej przemódz się, zato za następnym razem idzie daleko łatwiej.

Wstań rano, a znajdziesz nagrodę w tem, że wszelka praca pójdzie ci gładko i ochoczo, bo w godzinach rannych najlepiej się pracuje. Dla doświadczenia spróbuj odrazu zamknąć bardzo zajmującą książkę, a za innym razem potrafisz oderwać się od zabawy, gdy będzie czas zabrać się do pracy.

Zapamiętajcie więc, że największa nagroda za przezwyciężenie siebie polega na tem, że to daje nam siłę do spełnienia czegoś jeszcze trudniejszego i ważniejszego.

Tak więc ani jeden dowód cierpliwości, miłości, żadna ofiara nie pójdzie na marne, choćby nam odpłacono niewdzięcznością, gdyż największą nagrodą i zapłatą będzie siła zdobyta i zahartowana przy spełnianiu tych czynów

---

Czeskie przykazania narodowe

ułożone i rozpowszechniane przez czeski związek narodowy „Jednotę“.

1. Czeskie dziecko powinno przestawać stale z dziećmi czeskiemi i zawsze mówić po czesku.

2. Rodzice lub starsi członkowie rodziny niechaj w wieku przedszkolnym uczą dzieci czytać i pisać po czesku.

3. Modlić się i śpiewać w kościele powinno dziecko czeskie po czesku.

4. Izba powinna być ozdobiona obrazami czeskimi, obok obrazów świętych mają wisieć na ścianie obrazy z dziejów czeskich.

5. Dziecko czeskie powinno uczyć się przysłów czeskich, wierszyków czeskich, pieśni i gier narodowych.

6. Niechaj tradycye świąt czeskich ożyją w czeskich rodzinach. Pamiętną rocznicę historyi czeskiej niech przypomni ojciec lub starszy członek rodziny.

7. Podczas długich wieczorów zimowych niechaj rodzina czyta wspólnie dobre książki czeskie.

8. W każdym domu czeskim powinno być patryotyczne pismo czeskie.

9. Skarbem rodziny niechaj będzie biblioteczka, składająca się z wyborowych dzieł literatury czeskiej.

10. Rodzina niech mówi wszędzie i poza domem śmiało po czesku. Czeska mowa niech dźwięczy na ulicy, w kramie, na drodze, w hotelu i wszędzie. Jeżeli się do kogoś zwracamy z zapytaniem, pytajmy najpierw po czesku. Rodzina niechaj utrzymuje stosunki z rodzinami czeskiemi.

11. Rodzina czeska niechaj korzysta z każdej sposobności, aby być na przedstawieniu, odczycie i uroczystości czeskiej.

12. Rodzina niech unika wszystkiego, co przynosi uszczerbek dumie narodowej.

13. Według nakazu Palackiego, niechaj kupuje wyroby czeskie i popiera swoich rodaków.

14. Rodzina niech chroni posiadaną ziemię jako skarb najcenniejszy i spuściznę świętą po przodkach i niedopuszcza, aby przeszła w ręce cudze.

15. Rodzina niech wypełnia sumiennie obowiązki narodowe.

16. Oszczędności niechaj składa i kredytu szuka tylko w bankach czeskich.

17. Ojciec rodziny niechaj wypełnia swój obowiązek wyborczy.

18. Podczas spisu ludności niechaj wraz z rodziną zapisuje się jako Czech.

19. Ojciec, matka i starsi członkowie niechaj należą do towarzystw czeskich. Niechaj nie uchylają się od składek na cele narodowe.

20. Zaprzańców czeskich, swoich członków niechaj rodzina stara się pozyskać znowu dla ojczyzny.

Zdaje się, że w powyższych przykazaniach potrzeba tylko wyrazy: czeski, czeskie i t. d. zastąpić wyrazami: polski, polska i t. d., a każda rodzina polska może i powinna przyjąć je i według nich postępować.

Luźne myśli.

Coby się stało, zapytywał niegdyś jeden z felietonistów francuskich, gdyby wszyscy ludzie drukowali swoje myśli?

I w odpowiedzi na to zapytanie, dowcipny pisarz przedstawił zaraz ponury obraz klęsk, jakieby stąd na ludzkość spłynęły.

Każdy pędziłby życie w nieustannej trwodze, oglądając się dokoła, ażali gdzie oko zawistnego sąsiada, nie śledzi jego czynów. Stosunki towarzyskie zupełnieby ustały. Milczanoby bezustanku, jak za czasów Pitagoresa, a najzłośliwsze nawet plotkarki oszczędzałyby cały zapas nowinek na użytek druku itp.

Słowem nie ciekawe byłoby wówczas życie.

Jeżeli jednak ogłaszanie za pomocą druku, prowadzi do tak smutnych następstw, ograniczenie się na samem spisywaniu myśli i wrażeń, całkiem przeciwny przynieśćby mogło skutek.

Jeszcze w początku zeszłego stulecia, zwłaszcza u nas, każdy prawie człowiek piśmienny zwykł był notować, co mu się też ważniejszego w życiu przytrafiło. Najpowszechniej zapisywano ciekawsze fakta w kalendarzach, przy datach odpowiednich. Co kto mógł i co umiał, na papier przenosił, a w każdym razie rachował się przez to ze sobą i z życiem. Dziś obyczaj ten wyszedł zupełnie z mody. A szkoda doprawdy, bo przy zwiększonej sumie pojęć rozszerzyłby się i znacznie zakres rzeczy, które notować warto; co przestało już w uczuciu lub skończyło się w czynie, dobrze jest potem myślą rozważyć i sprawdzić. Dobrze jest pytać często samego siebie, czy się wypełniło wszystko, do czego była sposobność i siła, i o ile się czasem z drogi zboczyło. A sąd o ludziach, co z nami obcują, o ileżby ostróżniejszym był i sprawiedliwszym, jeśliby go się w chwilach samotnych na papier przeniosło i w różnych czasach bezstronnie porównało?

